Nazwisko LIPSKI

Imiona LEO **Pseudonim** .....

Z domu .....

Data urodzenia 10.7.1917 **Miejscowość, kraj** ZURYCH

Data śmierci 7.7.1997 **Miejscowość, kraj** TEL AWIW - IZRAEL

Lat życia 79

Adres cmentarza .....

.....

Źródła: 13.7.02 TP

.....

.....

Archiwum Osobowe Emigracji im. B. Jeżewskiego Biblioteka Polska POSK w Londynie.

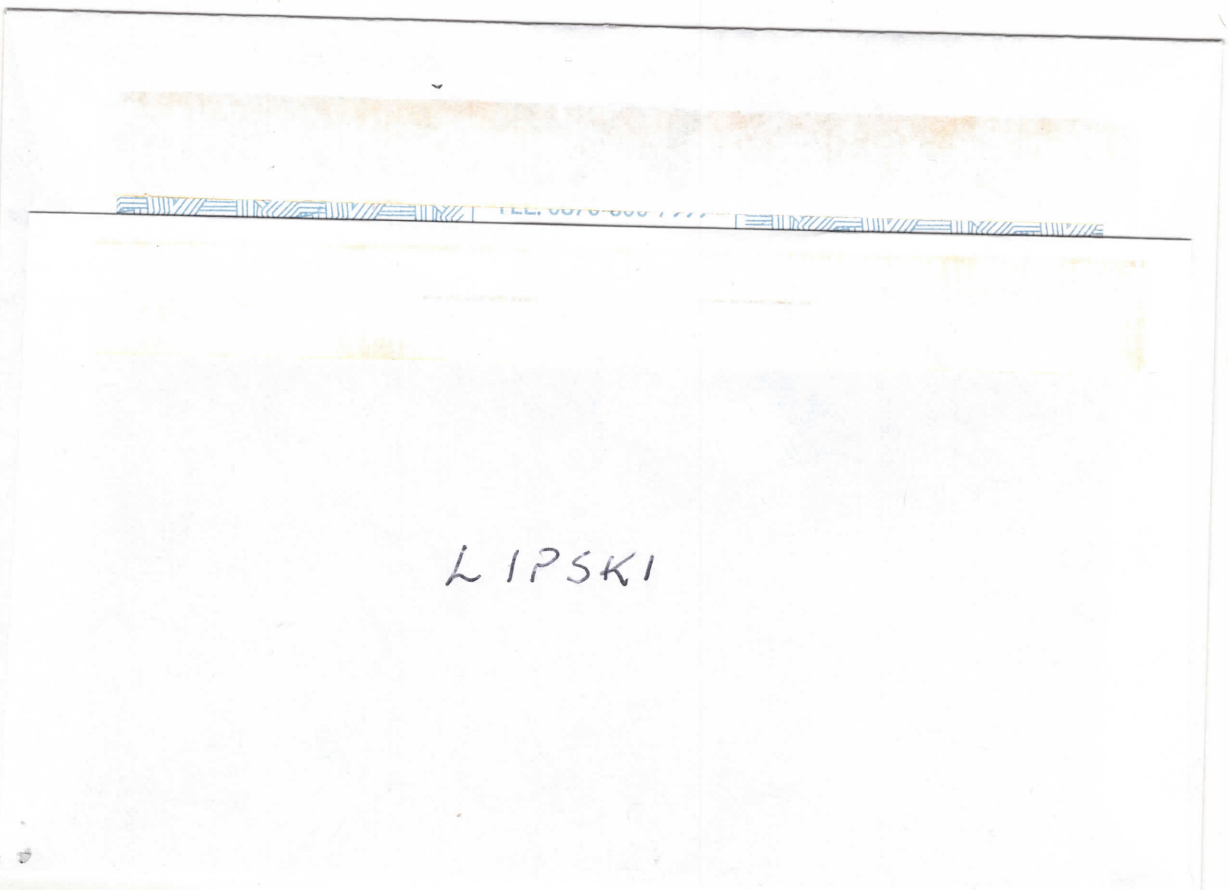
Zawód PISARZ **Tytuły naukowe** .....

Rodzaj wojska ..... **Stopień wojskowy** .....

Odznaczenia PR.

.....

.....



LIPSKI

T. P. 13.7.2002

LEO LIPSKI

Paryż ze złota

(fragment)

Paryż. Nie bardzo wiarygodne. Z Orly jedziemy do miasta, koło Etoile, które nie robi wrażenia. Do hotelu. Dziwny hotel, którego Łucja broni, robi wrażenie dekoracji z „Procesu" Kafki.

Jestem po raz pierwszy w Europie Zachodniej, z chroniczną chorobą, z niedawną operacją kości biodrowej, z wszystkimi gwoździami widocznymi na rentgenie. Jechałem, po raz pierwszy po wojnie, samolotem.

Oburzony na Paryż, na Europę, która mnie nie przyjmuje, więc nie przyjmuję jej. Jak oni tu bezczelnie żyją, Miłosz mówi, że to samo, co dzieje się w Indiach lub w Rosji, mogłoby się dziać tutaj, przecież świat jest systemem naczyń połączonych, to już nie Untergang Spenglera, spowodowany cyklicznością, to samobójstwo Zachodu, ciężkie przestępstwo ludzi, którzy nami rządzą i są idiotami. „Rządzą nami przeważnie ci sami / drobni oszuści i wielcy dranie, / a do tego szantażyści i tchórze..." – jak mówi Henryk Grynberg.

Mówię do Łucji, że chcę wracać, żeby ona została, ale ja chcę wracać do miasta oblężonego.

Jeśli teraz myślę ciepło o Paryżu, to to zasługa ludzi, a z kolei miasta.

Więc Łucja telefonuje panicznie na wszystkie strony nadaremnie. Jedziemy taksówką do domu Krystyny, do konsjerżki, której nie zastajemy; tylko paląca się telewizja. Wracamy. Mieszkamy w hotelu „Mac-Mahon", przy ulicy Mac-Mahon 3, pięćdziesiąt metrów od Etoile, jak jest napisane w prospekcie. Idziemy naprzeciwko, do „Directoire", na kolację. Z daleka zauważam pięknego kelnera, rasowego jak pies, jest to najprzystojniejszy kelner mojego Paryża.

Czuję się źle. Oczy, które łzawią, dziąsła, które nie pozwalają jeść baguettes, przewidziana awitaminoza, i pytanie: jak dać radę przypuszczalnym spotkaniom. Po kolacji znajomość z kioskiem i pierwsze karty. Już nabieram przytomności, układam z trudem teksty telegramów do przyjaciół, usiłuję w to wciągnąć Łucję, która jest bardzo zmęczona i mówi: To na jutro.

Okazuje się, że mamy cały apartament: dwa pokoje, korytarz, duża łazienka, bidet, wanna, do Staszka i Lotki, do Mediolanu, do Andrzeja. Nieświadomie pominąłem Irulę i Jurka Berenta w Genewie. I pomyślałem z rozpaczą, że Michał Chmielowiec przyjechałby tu, gdyby jeszcze żył.

Poza tym pneumatyki do młodej pary na stypendium Rządu Francuskiego, do Allana Koski na dwa adresy, do dawno nie widzianej koleżanki. W ogóle od tej chwili aż do wyjazdu robi Łucja wszystko: kupuje, podchodzi do telefonu, pisze, czyta (z powodu moich oczu), zamawia w restauracji, robi notatki, a nawet rozmawia z moimi przyjaciółmi.

Nikt nie miał pojęcia o tym, że wybieram się do Paryża. Ja sam nie wierzyłem, że kiedykolwiek będę w Paryżu. Nie pozwalałem Łucji mówić, że jedziemy, dowiadywałem się skrupulatnie, ile to będzie kosztować, jeśli podróż nie dojdzie do skutku. Nawet na lotnisku nie byłem przekonany.

Przyzwyczajam się stopniowo do hotelu, który wydaje mi się mniej kręty (prawdopodobnie jest przerobiony ze starego pałacyku), przyzwyczajam się stopniowo do kawiarenek-tabaców, gdzie można wszędzie kupić zegarki „Timex"; także przy naszym hotelu, gdzie jest automat telefoniczny; przestawiamy się na trochę i zupełnie inny styl życia; jeszcze nie wiemy, że naprzeciw można dostać znakomite ciastka z jagodami i bitą śmietaną, że kiełbaski, zawsze dwie, podaje się w półmetrowym batonie, zawsze polane serem, że obiad kończy się o drugiej, potem można dostać tylko dania barowe, „bo kucharka poszła do domu", że szofer zapytany, czy mógłby poczekać, odpowiada „Kończę pracę o czwartej", że pocztówki można by ukraść i nikt tego nie zauważy, że dwóch clochardów leży na ławkach koło cukierni, że ludzie są uprzejmi, nienerwowi. Odkrywamy stację taksówek, na której jest napisane „Tete de station", bardzo trudno je dostać w godzinach siódma – dziewiąta wieczór.

Chciałbym opisać Paryż dotykalnie, namacalnie, tak mi go szkoda, tak za nim tęsknię (za tym co nie może się powtórzyć). Ale tutaj pisze mi się skrótami, byle jak, aby to, co zapamiętałem, jakoś uchronić, ocalić. Może to, co piszę, powinno się

O autorze

LEO LIPSKI (właśc. Lipschütz) urodził się 10 lipca 1917 r. w Zurychu. W dzieciństwie przeniósł się z rodzicami do Krakowa. Jego matka, Tonia z domu Osterer, pochodziła z Wiednia. Zmarła, gdy był kilkuletnim chłopcem. Leo wraz z ojcem, Samuelem Lipschützem, kupcem, krakowianinem po studiach w Niemczech, i młodszym o kilka lat bratem, Stanisławem, mieszkał na krakowskim Kazimierzu do wybuchu II wojny światowej. W Krakowie chodził do Gimnazjum im. Adama Mickiewicza, a następnie do humanistycznego Gimnazjum św. Jacka. W domu pobierał lekcje języka francuskiego i gry na fortepianie, również z domu wyniósł biegłą znajomość języka niemieckiego oraz zainteresowania filozoficzno-psychologiczne, które rozwijał podczas studiów na Uniwersytecie Jagiellońskim. Jako gimnazjalista zaczął Lipski publikować recenzje literackie oraz muzyczne, fragmenty prozy i nieliczne wiersze na łamach „Kuźni Młodych", „Naszego Wyrazu", „Pionu". Przybrał wówczas pseudonim literacki Leo Lipski, którego używał do końca życia. Przedwojenny okres w życiu Leo Lipskiego upłynął na studiowaniu, lekturach, podejmowaniu prób literackich, nawiązywaniu recenzenckiej współpracy z czasopismami, na spotkaniach towarzyskich poświęconych dyskusjom o literaturze, sztuce, filozofii współczesnej odbywanych w gronie przyjaciół.

We wrześniu 1939 roku Lipski znalazł się wraz z bratem we Lwowie. Obaj trafili do sowieckiego więzienia na Brygidkach, które udało im się po pewnym czasie opuścić, co jednak nie uchroniło ich przed wywózką w głąb Sowietów. W przypadku Lipskiego zsyłka i łagier były ceną za asymilację i przywiązanie do polskości. Leo trafił do obozu nad Wołgą w pobliżu Uglicza, gdzie pracował przy robotach leśnych, a później w ambulatorium na budowie tamy w Wołgostroju. Obaj z bratem uwolnieni z łagrów na mocy traktatu Sikorski-Majski wydostali się ze Związku Sowieckiego wraz z armią generała Andersa. Szlak wędrówki wiódł przez Teheran, gdzie wycieńczony okupacyjnymi przejściami Lipski zapadł na tyfus. Wyszedł ze szpitala bardzo wyczerpany, lecz jeszcze nie obciążony kalectwem. W 1943 roku znalazł się w ówczesnej Palestynie. Korzystając ze stypendium rządu polskiego dla uzdolnionych młodych ludzi, próbował kontynuować studia w Bejrucie. Tam doznał prawostronnego paraliżu ciała i późniejszego porażenia ośrodków mowy. Przez półtora roku był leczony w szpitalu Hadassa w Jerozolimie, a potem w domu rehabilitacyjnym w Tel Awiwie. Początkowo lekarze uważali, że nie da się uratować mu życia. Pacjent odzyskał jednak częściową sprawność, mógł poruszać się o lasce, potem na wózku inwalidzkim. Pisał na maszynie lewą ręką.

W 1949 roku zamieszkał ostatecznie w Tel Awiwie przy ulicy Bugraszow 20. W miarę możliwości brał udział w bogatym polskim życiu towarzyskim miasta lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. W 1975 roku odbył w towarzystwie opiekującej się nim od lat sześćdziesiątych Łucji Gliksman podróż do Paryża, gdzie spotkał się m. in. z Jerzym Giedroyciem, Józefem Czapskim, Gustawem Herlingiem-Grudzińskim i przyjaciółmi z czasów młodości.

Od końca lat osiemdziesiątych pozostawał unieruchomiony w łóżku, spędzając całe dnie na czytaniu. Zmarł w Tel Awiwie 7 lipca 1997 roku, trzy dni przed osiemdziesiątą rocznicą własnych urodzin. Rzeczpospolita Polska przyznała mu Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski Polonia Restituta.

Twórczość Lipskiego była jednak tłumaczona na wiele języków: angielski, francuski, niemiecki, szwedzki, włoski, hebrajski, jidisz. Składa się na nią kilka młodzieńczych recenzji, wierszy i obrazków prozatorskich drukowanych w polskiej prasie lat trzydziestych, nieukończona powieść

Krystyny, do konsjerżki, której nie zastajemy; tylko paląca się telewizja. Wracamy. Mieszkamy w hotelu „Mac-Mahon", przy ulicy Mac-Mahon 3, pięćdziesiąt metrów od Etoile, jak jest napisane w prospekcie. Idziemy naprzeciwko, do „Directoire", na kolację. Z daleka zauważam pięknego kelnera, rasowego jak pies, jest to najprzystojniejszy kelner mojego Paryża.

Czuję się źle. Oczy, które łzawią, dziąsła, które nie pozwalają jeść baguettes, przewidziana awitaminoza, i pytanie: jak dać radę przypuszczalnym spotkaniom. Po kolacji znajomość z kioskiem i pierwsze karty. Już nabieram przytomności, układam z trudem teksty telegramów do przyjaciół, usiłuję w to wciągnąć Łucję, która jest bardzo zmęczona i mówi: To na jutro.

Okazuje się, że mamy cały apartament: dwa pokoje, korytarz, duża łazienka, bidet, wanna, klo. Chciałbym, aby hotel istniał długo, abyśmy zawsze mieszkali, podczas pobytu w Paryżu, w „Mac-Mahon"; polubiłem portiera, który wyłączał telefon idąc pić do pobliskiego tabacu, polubiłem nocnego portiera, zwolennika telewizji, polubiłem wreszcie la patronne, sędziwą damę wzrostu de Gaulle'a. Wreszcie, zmęczony, zrobiłem sobie łóżko (ścielenie łóżek ganił podczas pobytu w Izraelu Duhamel), które było niewygodnie zrobione; ścieliłem je co noc, wyciągałem głęboko zawinięte prześcieradła i koce. I łóżko było tak miękkie, tak głęboko zapadające się, gruby materac, może ze czterdzieści centymetrów.

Rano budzę się jak zwykle mało przytomny. Łucja płakała z powodu mojego nastroju, dopiero po znakomitym śniadaniu, w pokoju, uspokaja się. Potem telefonuje: zastaje Jerzego Giedroycia, Czapskich, służącą Krystyny, która informuje, że obie panie (Krystyna i Lusia) są w Londynie. Giedroyć i Czapski mówią, że przyjdą, przypuszczam, ze względu na mój stan, który utrudnia bardzo podróż do Maisons-Laffitte.

Idziemy do banku, bardzo sympatycznego, spokojnego, w którym wymieniamy travellers cheques, na pocztę uroczą, dla mnie nie męczącą, gdzie Łucja wysyła, w moim imieniu, jednakowo brzmiące telegramy: Jestem tu a tu, czy możecie przyjechać, zostaję trzy tygodnie, całusy. Wysłała Łucja do Wiednia, do Romka i Mili, do Londynu, ły styl życia; jeszcze nie wiemy, że naprzeciw można dostać znakomite ciastka z jagodami i bitą śmietaną, że kiełbaski, zawsze dwie, podaje się w półmetrowym batonie, zawsze polane serem, że obiad kończy się o drugiej, potem można dostać tylko dania barowe, „bo kucharka poszła do domu", że szofer zapytany, czy mógłby poczekać, odpowiada „Kończę pracę o czwartej", że pocztówki można by ukraść i nikt tego nie zauważy, że dwóch clochardów leży na ławkach koło cukierni, że ludzie są uprzejmi, nienerwowi. Odkrywamy stację taksówek, na której jest napisane „Tete de station", bardzo trudno je dostać w godzinach siódma – dziewiąta wieczór.

Chciałbym opisać Paryż dotykalnie, namacalnie, tak mi go szkoda, tak za nim tęsknię (za tym co nie może się powtórzyć). Ale tutaj pisze mi się skrótami, byle jak, aby to, co zapamiętałem, jakoś uchronić, ocalić. Może to, co piszę, powinno się nazywać „Ocalenie". Że korytarz był kręty i wąski, wyłożony czerwonym dywanem, że urządzenie do spuszczania wody w klo nazywało się „Tombola", że pokój przerobiony na łazienkę miał podłogę gumową i tam mogłem robić gimnastykę, że nasze pokoje miały sześć bardzo dużych okien, zasłoniętych podwójnymi firankami, i biegnące wzdłuż wąskie balkoniki, że koło taksówek była mała fontanna, pokryta śniedzią, i pisuar z dawnych lepszych czasów. W hotelu była winda, oddzielona podwójną kratą, przez którą słyszałem rzeczy mówione na parterze, przypominało to trochę scenę z filmu Felliniego „Dolce vita".

Jedziemy taksówką de Jeu-de-Paume na impresjonistów. Zdaje mi się, że przy dzisiejszej technice reprodukcji wrażenie, przy jednorazowym widzeniu, musi być raczej małe. Dziś, gdy pokazuje się powiększenia, fragmenty, pociągnięcia pędzla, kolorowe przeźrocza. Dlatego dreszcz przeszedł mnie tylko przy „Katedrach" i przy „Liliach" Moneta. W „Jeu" piliśmy w automatach.

Chciałbym, by istniało, na równi z Towarzystwem Ochrony Przyrody, Towarzystwo Ochrony Pamięci. To, co przeżyłem w Paryżu, jest tak dla mnie wyjątkowe, jeszcze bardziej niż dla moich przyjaciół, oczywiście, którzy także byli wstrząśnięci spotkaniem, jak to wynika z listów, jakie już tutaj dostałem. (...)

a potem w domu rehabilitacyjnym w Tel Awiwie. Początkowo lekarze uważali, że nie da się uratować mu życia. Pacjent odzyskał jednak częściową sprawność, mógł poruszać się o lasce, potem na wózku inwalidzkim. Pisał na maszynie lewą ręką.

W 1949 roku zamieszkał ostatecznie w Tel Awiwie przy ulicy Bugraszow 20. W miarę możliwości brał udział w bogatym polskim życiu towarzyskim miasta lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. W 1975 roku odbył w towarzystwie opiekującej się nim od lat sześćdziesiątych Łucji Gliksman podróż do Paryża, gdzie spotkał się m. in. z Jerzym Giedroyciem, Józefem Czapskim, Gustawem Herlingiem-Grudzińskim i przyjaciółmi z czasów młodości.

Od końca lat osiemdziesiątych pozostawał unieruchomiony w łóżku, spędzając całe dnie na czytaniu. Zmarł w Tel Awiwie 7 lipca 1997 roku, trzy dni przed osiemdziesiątą rocznicą własnych urodzin. Rzeczpospolita Polska przyznała mu Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski Polonia Restituta.

Twórczość Lipskiego była jednak tłumaczona na wiele języków: angielski, francuski, niemiecki, szwedzki, włoski, hebrajski, jidisz. Składa się na nią kilka młodzieńczych recenzji, wierszy i obrazków prozatorskich drukowanych w polskiej prasie lat trzydziestych, nieukończona powieść pt. „Niespokojni", nad którą autor pracował jeszcze w Krakowie, a którą w innej wersji ukończył (choć w całości nie opublikował) tuż po wojnie w 1948 roku, tom opowiadań „Dzień i noc" (1957), poza utworem tytułowym zawierający również „Waadi" oraz „Powrót"; a także drukowane pojedynczo opowiadania: „Pradawna opowieść" (1959), „Miasteczko" (1964), „Sarni braciszek" (1981), mikropowieść „Piotruś" (1960), wreszcie wspomnieniowe notatki z podróży do Paryża oraz korespondencja m. in. z Jerzym Giedroyciem, Józefem Czapskim, Gustawem Herlingiem-Grudzińskim, Martinem Buberem, Janem Holcmanem.

(JarK)



DOM Gdynia-Orłowo

NA SPRZEDAŻ

dom o pow. 400 m²
150 m od plaży, w pobliżu centrum handlowego Klif.
4 kondygnacje, 6 sypialni, 2 łazienki, salon, kuchnie, taras. Dwie pozostałe kondygancje (wysoki i niski parter) nadają sie na działalność gospodarczą – 167 m² osobne wejście.
Garaż, ogród o pow. 392 m².
Oferty od US$ 350 tys.

Tel. 0048 58 5048 31378

Str. 12 i 13 – do wycięcia
event. dla mnie proszę





LEO LIPSKI

Powrót

Więzienie było przed wojną klasztorem. W podłodze była dziura, i do niej należało się załatwiać. Z dziury tej wychodziły szczury i chodziły po mnie, gdy spałem. Dostojne i lśniące.

Na ścianie napisy zrobione przez różnych ludzi: „Moja żona żyje z Karpackim"; „Bug. 6.XII.39"; „Ja siedziałem tu siedem miesięcy"; „Koniec"; „Dlaczego mnie tak męczycie?" i inne rzeczy. Poza tym był narysowany zadek i różne części ciała ludzkiego. Wilgoć spływała ze ścian. Zgadzało się to zupełnie z książkami, które czytałem, mając lat trzynaście.

Leżeliśmy na szerokiej pryczy, i było zimno. Handlarz świń, złodziej o bardzo ładnych rękach, i człowiek posądzony o morderstwo, wtulali się w siebie, podkurczając nogi, i przykrywali się wspólnie. Ja wstydziłem się i nie mogłem: nie mogłem korzystać z ciepła, jakie dawali, bo byli mężczyznami. To był, naturalnie, nonsens, ale męczyłem się.

Pewnego razu, gdy spałem, przykrył mnie handlarz świń swoim paltem i przysunął się do mnie. Rano powiedział: – Nie bądź pan kretynem.

Potem, kiedy miałem spać, przytulałem się do chudego studenta, chorego na Basedowa, do kieszonkowca, który uroczo śpiewał idiotyczne piosenki, i w ogóle do wielu ludzi, którzy śmierdzieli, sapali, cmokali we śnie, jak gdyby ssali smoczek, gwizdali, pocili się i mruczeli. Ich wszy przechodziły na mnie, moje na nich; ratowało mnie ciepło ludzkie; sam byłem chudy i anemiczny – dawałem mało ciepła. Nie przejęło mnie to nawet, gdy pewnej nocy, jubiler-gruźlik próbował uważać mnie za swoją żonę. Zresztą zdarzało się to rzadko, bo byliśmy zbyt wygłodzeni.

ale mogła wkrótce wrócić. Było tam jeszcze zimniej niż w więzieniu, rozklekotane pianino, jeden tapczan, dwa słoiki konfitur i pierzyna. Wśród nut, które leżały koło pianina, znalazłem pieśni Schuberta, i uczyłem ją śpiewać „Śmierć i dziewczynę".

Jest to najdziwniejszy dialog, połączenie miłosno-śmiertelne, dwoiste, sięgające samych trzewi; i pod każdym „nie" kryje się „tak", i spod nienawiści i strachu wypełza miłość. Uczyłem ją więc obłąkanego krzyku dziewczyny, i ona wiedziała, jak ma wołać: „Ruehre mich nicht an, ruehre mich nich an!"; wiedziała też, jak mówi śmierć. Jej alt musiał być czarno-lśniący, jak rzeka w nocy, uwodzicielski; a na końcu, przechodził w szept, nie tracąc ciemnego błysku, opadał na dno, gdzie splątane jak kłębowisko żmij, falowały i gotowały się miłość i śmierć.

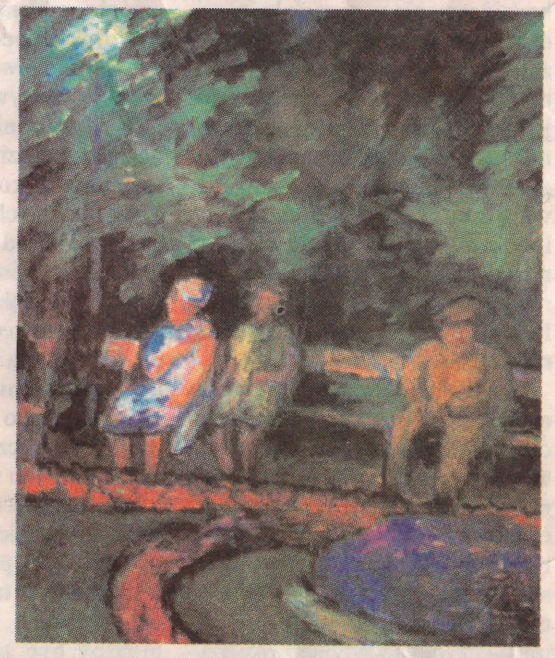
W pokoju było bardzo zimno, siedziałem przy pianinie w palcie i rękawiczkach, i nie bardzo mogłem ruszać palcami, mimo, że akompaniament był prosty. W końcu zrobiło się ciemno, nie było światła, więc postanowiła, ze pójdziemy spać.

Spałem z nią na jednym tapczanie, pod pierzyną. Było bardzo i coraz zimniej. Ona była duża i ciepła, ja byłem głodny i zdechły. Czułem, że wszystko z nią się kończy, pomału, w mrozie, że wszystko kończy się w ogóle. Nie myślalem dużo, byłem otępiały, galaretowata masa, w ogóle

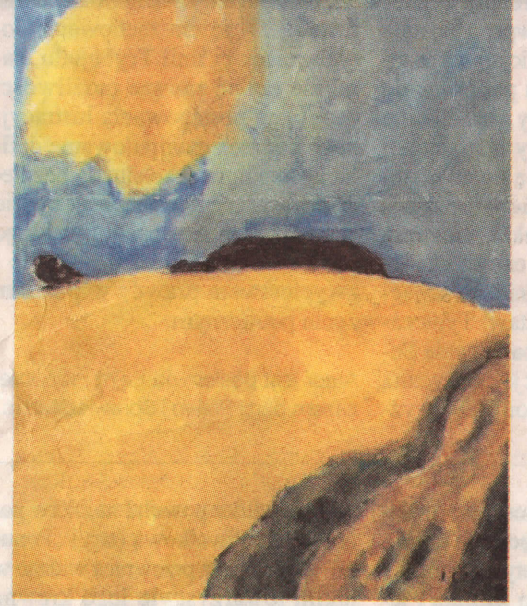


na policzku. Było niewygodnie, ale za zimno, żeby wyjść z łóżka. Byłem zresztą w samej bieliźnie, bo powiedziała przed spaniem: „Musisz się rozebrać", więc rozebrałem się – pierwszy raz od dwóch miesięcy.

Myślałem o tym, co opowiadała mi wieczorem, o jakimś Borysie, którego poznała na uniwersytecie, była z nim na pływalni i: „Myślałam, czy wyjechać z



nim. Jedzie na uniwersytet do Kijowa,





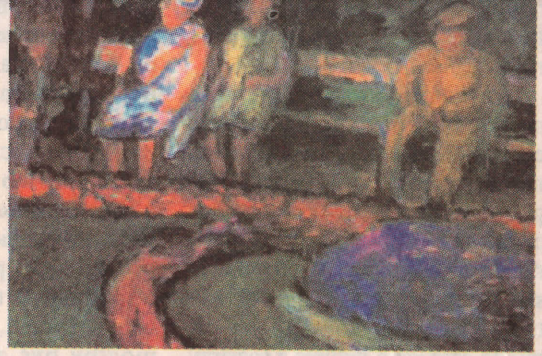
się do chudego studenta, chorego na Basedowa, do kieszonkowca, który uroczo śpiewał idiotyczne piosenki, i w ogóle do wielu ludzi, którzy śmierdzieli, sapali, cmokali we śnie, jak gdyby ssali smoczek, gwizdali, pocili się i mruczeli. Ich wszy przechodziły na mnie, moje na nich; ratowało mnie ciepło ludzkie; sam byłem chudy i anemiczny – dawałem mało ciepła. Nie przejęło mnie to nawet, gdy pewnej nocy, jubiler-gruźlik próbował uważać mnie za swoją żonę. Zresztą zdarzało się to rzadko, bo byliśmy zbyt wygłodzeni.

Rano, gdy wstawaliśmy, handlarz świń odbywał po celi dłuższy spacer, a potem przemawiał:

– Proszę panów, ja wychodzę z domu przy ulicy Długiej, tego czerwonego, na rogu, i idę sobie spacerkiem prawą stroną, i oglądam sobie wystawy, aż do Prostej, i auta, prosze panów, jadą i trąbią, i psy latają, a ja, proszę panów, wchodzę do tego fryzjera N., mimo, że wcale nie mam takiej brody. Potem woda kolońska, potem idę do klozetu miejskiego naprzeciwko, tam jest taka miła staruszka, i załatwiam się czyściutko, a potem... potem idę jeść.

Przedmowa była długa i dokładna. Słuchaliśmy jej bardzo uważnie; zwłaszcza jadłospisu. Kieszonkowiec zawsze wolał – zamiast bułki z szynką – jajecznicę na słoninie. Jubiler nie używał wody kolońskiej. Pewnego dnia, który był bardzo zwykły i niespodziewany, wyszedłem z ogoloną głową, dużą brodą, ale odwszony, na ulicę, i nikt mnie nie pilnował. Powietrze zaczęło mnie dusić, psy biegały, samochody jeździły tam i z powrotem. Mój wzrok był przylepiony do ruszających się i rzeczy. I tak zacząłem pomału, z niedowierzaniem, chodzić. Potem odnalazłem Ewę.

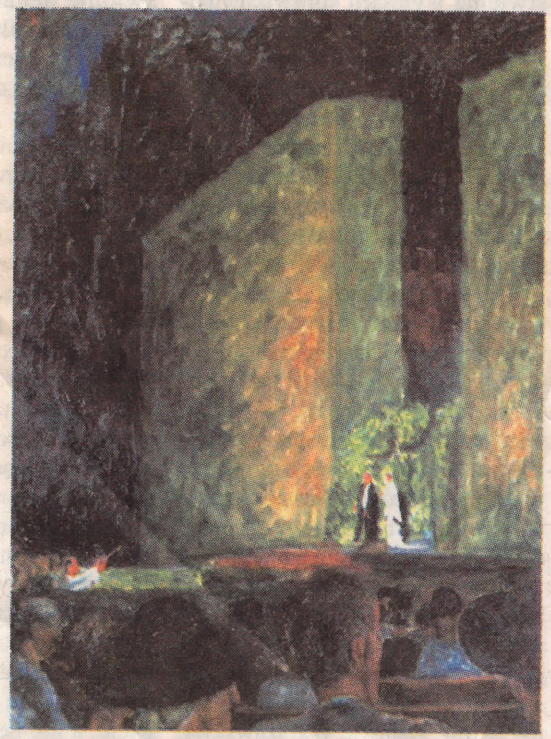
Wprowadziliśmy się w podstępny sposób do pewnego pokoju, którego właścicielka wyjechała wprawdzie,



że akompaniament był prosty. W końcu zrobiło się ciemno, nie było światła, więc postanowiła, ze pójdziemy spać.

Spałem z nią na jednym tapczanie, pod pierzyną. Było bardzo i coraz zimniej. Ona była duża i ciepła, ja byłem głodny i zdechły. Czułem, że wszystko z nią się kończy, pomału, w mrozie, że wszystko kończy się w ogóle. Nie myślalem dużo, byłem otępiały, galaretowata masa, w ogóle nic, flak, Nie spałem, patrzyłem w okno i starałem się nie drapać za bardzo, by jej nie obudzić; to nie było takie łatwe.

Spała spokojnie, oddychała równo, nieświadomie spychała mnie na brzeg tapczanu. Potem, na wpół we śnie, obróciła się tak, że leżała twarzą do mnie, podkurczyła kolana, i czułem jej oddech



nim. Jedzie na uniwersytet do Kijowa. Nie wiem dlaczego nie zrobiłam tego. To było takie proste".

Wtedy nagle usłyszałem, że coś do mnie mówi. Przez dłuższy czas nie rozumiałem, o co chodzi. Mówiła:

– Podaj mi pieśni Schuberta.

Pieśni Schuberta leżały koło pianina, bardzo daleko, poza tym cała historia wydawała mi się nonsensem. Powtórzyła w wyraźnie tragiczny i trzeźwy sposób:

– Podaj mi pieśni Schuberta.

Wstałem, człapiąc bosymi nogami, i trzesąc się, grzebałem wśród nut; szukałem jedynych, jak wiedziałem, w twardej okładce. W końcu je znalazłem. Tymczasem wstała z łóżka, w koszuli (nie bała się nigdy zimna).

– Pokaż je.

Oddałem jej nuty. Podeszła do okna, gdzie było nieco jaśniej. Widziałem jej profil. Pochyliła się, położyła na nuty niewidzialny dla mnie przedmiot i przygniotła go paznokciem. Usłyszałem cichy trzask, którego nie zapomnę. Mruknęła głosem, którym śpiewała śmierć w „Śmierci i dziewczynie":

– To jest, kochanie, wesz.

Malarstwo Józefa Czapskiego

WĘDROWIEC

LEO LIPSKI (1917–1997)

Przeglądając przed napisaniem tego tekstu stare listy i zapiski, natrafiłem na następujący fragment:

Hebrajska sentencja tak oto poucza poszukujących mądrości: Mądry nie rozwodzi się w obecności tego, kto przewyższa go wiedzą i wiekiem. Natchniona myśl nie przewidziała jednak groźnego milczenia mędrców naszej epoki . Wybaczą być może zatem oni, że uczeń pierwszy podniesie niepewny głos, aby przypomnieć twórczość pisarza skazanego w ojczyźnie swej na zamilczenie.

W ten sposób dziewięć lat wcześniej rozpoczynałem mój krótki tekst o życiu i twórczości Leo Lipskiego[6]. Ktokolwiek obserwuje historię jej recepcji w Polsce, dostrzega ogromny anachronizm powyższej oceny sytuacji, opublikowano bowiem już kilkadziesiąt tekstów na ten temat, nagrano audycje radiowe[7] i telewizyjne, powstały dwa filmy dokumentalne[8], w całym kraju studenci piszą prace magisterskie pod opieką historyków literatury od lat zainteresowanych twórczością pisarza[9], wydawnictwa wznawiają jego książki, a ich promocjom towarzyszą ciekawe wystąpienia naukowe[10]. Podczas niedawno zakończonego Miesiąca Kultury Żydowskiej Bajit Chadasz odbyła się w Krakowie dyskusja panelowa, w której uczestniczyli najważniejsi znawcy i miłośnicy twórczości pisarza. Autor „Piotrusia" doczekał się uznania, jego książki trafiły nawet do wypisów w podręcznikach dla szkół średnich. I tylko...

Leo Lipskiego nie ma już wśród nas. Gorzkie szczęście triumfalnego „debiutu" w ojczyźnie na pewno nie było tym, czego naprawdę mógł oczekiwać ten niesłychanie mądry i skromny człowiek, niezwykły pisarz , ale wiem też, że spotkanie z czytelnikami było dla Niego rzeczywiście radością, i dobrze, że chociaż tyle mógł od nas otrzymać.

W Tel Awiwie, w maleńkim mieszkanku, którego prawie nikt nie odwiedza, w pokoju z oknami wiecznie zacienionymi przez wysokie drzewa, pozostała jeszcze jedna osoba – prawdziwa Dama Drugiej Rzeczypospolitej, „siostra", „matka" i przyjaciółka pisarza w jednej osobie przez te wszystkie lata, a też poetka, historyk literatury, wielka miłośniczka i znawczyni tejże, profesor Łucja Gliksman. Kiedy myślę o Niej, ponownie zaczyna irytować mnie hebrajska sentencja .

*

Książki Lipskiego trafiły do czytelników krajowych niestety poza właściwym sobie czasem. Mimo to są czytane, jednak zbyt często jeszcze znaczenie tej twórczości ogranicza się do ram nurtu literatury łagrowej i emigracyjnej, przedstawiając autora wyłącznie jako nieco ekscentrycznego formalnie dokumentatora tego typu doświadczeń, a przy tym dodatkowo sztucznie

---

[6] „Tumult" nr 2, XI/XII 1988, Kraków, Wydawnictwo X, 1988, s.11 (druk bezdebitowy).

[7] Autorką audycji radiowej na temat życia i twórczości Leo Lipskiego była Agnieszka Maciejowska z programu I Polskiego Radia. Zebrano tam m.in. wypowiedzi krytyków literackich, prof. Łucji Gliksman oraz samego autora. Agnieszka Maciejowska jest niewątpliwie osobą najbardziej zasłużoną dla ocalenia spuścizny literackiej po pisarzu. Jako wydawca zadbała o krajowe wznowienie uaktualnionych przez autora dzieł, jako dziennikarka nagrała poświęconą jemu audycję radiową, jako Agnieszka Maciejowska, korzystając z możliwości płynących z piastowania stanowiska atache kulturalnego przy ambasadzie polskiej w Izraelu.

[8] Autorem dotąd nie emitowanego, przygotowanego dla telewizji Wrocław filmu na temat osoby i dzieła Leo Lipskiego jest Stanisław Bereś – wcześniej piszący na ten sam temat. Nad drugim filmem, przygotowanym dla programu I Telewizji Polskiej, pracowałem osobiście wraz z Maciejem Nowickim i ekipą filmową.

[9] Myślę tu o Hannie Gosk z Warszawy oraz o Ryszardzie Przybylskim z Poznania. Oboje są również autorami piszącymi na temat twórczości Leo Lipskiego.

[10] Myślę tu o wystąpieniu Piotra Matywieckiego na temat problematyki językowej w twórczości pisarza – zagadnieniem tym Matywiecki zajmuje się od dawna.

ARCHIWUM EMIGRACJI ZESZYT 1 TORUŃ 1998

izolując od siebie poszczególne dzieła, a nawet ich integralne części. Lipski nie był nigdy „pisarzem obozowym", choć właśnie za związany z tą tematyką tom „Dzień i noc" otrzymał w 1955 r. Literacką Nagrodę „Kultury". Nie można też traktować pozostałych jego dzieł wyłącznie jako dokumentu emigracji. Niezależnie od tego, pod naciskiem jakich uwarunkowań historycznych tworzył, swym pisarstwem zawsze starał się przekraczać narzucane przez nie ograniczenia i zmierzać ku ponadczasowej formule sensu. Pobyt w łagrze, mimo iż odcisnął tak bolesne piętno na życiu osobistym pisarza, mniejszym obarczał go ciężarem niż świadomość, metafizycznie dlań nie uzasadnionego, wykluczenia jego osoby przez taki właśnie bieg wypadków z tragicznego doświadczenia Holocaustu, który zabrał mu naprawdę niemal wszystkich, ale nie pozwolił być tuż przy nich. Również „emigracyjność" nie interesuje pisarza tylko jako temat sam w sobie. Wszystkie te doświadczenia, podobnie jak i negatywne przewartościowania w kulturze powojennej Europy, są symptomami groźnej choroby, niszczącej świat bliskich artyście wartości. Książki Lipskiego, jakkolwiek są niebywałą gratką dla biografistów (niemal każda postać miała swój pierwowzór w życiu lub literaturze), trzeba jednak potraktować jako dzieła w pełni kreatywne. Można je określić w sposób analogiczny do zapisków Hellera z „Wilka stepowego": *...bez względu na to, czy opierają się na wielu, czy na niewielu wydarzeniach z życia – są próbą przezwyciężenia wielkiej choroby czasu, nie przez jej omijanie i upiększanie, lecz przez próbę uczynienia z samej choroby przedmiotu opowiadania. Oznaczają dosłownie drogę przez piekło, bądź pełną lęku, bądź odważną, drogę przez chaos mrocznego świata duszy, podjętą w celu przejścia przez to piekło, stawienia czoła chaosowi, przecierpienia zła do końca*[11].

Jako pisarz Lipski podejmuje w trakcie tej pielgrzymki przez pustynię dwudziestowiecznego wygnania próbę przywrócenia mocy szeroko rozumianemu językowi, który pozostawił po sobie rozgromiony i przehandlowany świat, i uporządkowania na nowo za jego pomocą doświadczeń swoich i całego pokolenia, a co za tym idzie – odbudowania całego uniwersum, powrotu do Ziemi Obiecanej. Niestety w zamierzenie twórcze od początku wpisana jest niemożność relizacji takiego pragnienia. W założeniu jest zatem proza ta, podobnie jak np. proza Schulza, powrotem do wiary w „rytualną" moc słowa i aktu twórczego, w konsekwencji zaś – konstatacją ostatecznej katastrofy. Kolejne teksty nie tylko dokumentują fakty – opowiadają o dorastaniu w międzywojennej Polsce, o doświadczeniu obozowym, o wydostaniu się z ZSRR wraz z Armią Andersa i emigracji w Izraelu – czytane właściwie ujawniają swój metaforyczny charakter, dają się interpretować – nie tylko równolegle do biografii pisarza, ale też np. w odniesieniu do Historii Świętej – jako próba przełamania niszczących mechanizmów. Bohaterowie to zawsze ludzie niespokojni, naturalnie rozdarci pomiędzy tęsknotą do duchowego spełnienia i wrażliwością na zmysłowe uroki świata, historycznie – między daną im rzeczywistością a dziedzictwem kultury, która nie jest już w stanie jej uporządkować. Uwięzieni w tym punkcie stają się tragicznymi mieszkańcami groteskowego świata na opak, aktorami bezskutecznie ponawiającymi, w sposób nieuchronnie kaleki i najczęściej nieświadomy, różnorakie kulturowe *scenariusze ocalenia* (a to poprzez miłość metafizyczną, a to poprzez miłość ludzką, a to poprzez powrót do krainy dzieciństwa, a to poprzez rytuał inicjacyjny czy moc archetypów, a to poprzez zawierzenie autorytetowi lub twórczości itp.). Nieskuteczność tych wszystkich odwołań staje się doświadczeniem bohaterów, źródłem ich cierpienia w fabularnej rzeczywistości, a równocześnie wpływa na sam akt narracji, czy wreszcie kompozycji całości dzieła, które przecież również poszukiwało punktu oparcia dla realzacji swych ambitnych założeń w tych rejonach. W ten sposób na wszystkich poziomach jego konstrukcji autor realizuje, jak się okazuje nadrzędny dla całości, postulat *uczynienia z samej choroby przedmiotu opowiadania.* Groteskowej weryfikacji poddane zostają wątki i motywy biblijne, związana z tym symbolika, zachodnia myśl filozoficzna i literatura.

Na koniec trzeba podkreślić jeszcze jedno: groteska jest tu nie tylko jedyną w pełni adekwatną w stosunku do rozbitej rzeczywistości estetyczną płaszczyzną wypowiedzi, ale też ostatnim – przed milczeniem (które zamyka „Piotrusia") – realnie dostępnym sposobem odwołania się do mocy ozdrowieńczych tkwiących w samej kulturze. Paradoksalnie bohater–narrator, świadom tego wszystkiego, próbuje z chaosu, z nawozu historii – na wzór pierwotnych rytuałów karnawałowych – wyprowadzić życie nowe, chce, jak sam autoironicznie stwierdza, *oszukać śmierć*, ale Bachtinowskie odrodzenie przez chaos karnawału nie przychodzi. Kiedy

[11] H. Hesse, *Wilk stepowy*, przeł. Gabryiela Mycielska. Poznań 1984 , s. 23–24.

ści. Lipski nie był nigdy „Dzień i noc" otrzymał w ałych jego dzieł wyłącznie warunkowań historycznych przez nie ograniczenia i isnął tak bolesne piętno na ość, metafizycznie dlań nie wypadków z tragicznego h, ale nie pozwolił być tuż ako temat sam w sobie. rtościowania w kulturze bliskich artyście wartości. niemal każda postać miała wać jako dzieła w pełni lera z „Wilka stepowego": *eniach z życia – są próbą ekszanie, lecz przez próbę lownie drogę przez piekło, ita duszy, podjętą w celu ło końca*[11].

grzymki przez pustynię umianemu językowi, który kowania na nowo za jego ie – odbudowania całego rcze od początku wpisana proza ta, podobnie jak np. czego, w konsekwencji zaś tują fakty – opowiadają o ydostaniu się z ZSRR wraz wniają swój metaforyczny fii pisarza, ale też np. w iechanizmów. Bohaterowie ło duchowego spełnienia i aną im rzeczywistością a Uwięzieni w tym punkcie , aktorami bezskutecznie my, różnorakie kulturowe niłość ludzką, a to poprzez archetypów, a to poprzez zystkich odwołań staje się zywistości, a równocześnie la, które przecież również ch rejonach. W ten sposób uje nadrzędny dla całości, kowej weryfikacji poddane odnia myśl filozoficzna i

nie tylko jedyną w pełni zyzną wypowiedzi, ale też nie dostępnym sposobem e. Paradoksalnie bohater– rii – na wzór pierwotnych i autoironicznie stwierdza, ału nie przychodzi. Kiedy

„balsam przypowieści nie ima się jego ciała", a dionizyjski rytuał traci moc uzdrawiającą, ani dzieło, ani bohaterowie nie odnajdują porządku, za którym tak tęsknili. Powrót do doświadczeń kultury, próba przywrócenia archetypów przez nią pielęgnowanych ukazuje za każdym razem rozprzężnie i degradację, której przezwyciężenie jest możliwe tylko w snach pielgrzymich – tak należy odczytywać późniejsze „Miasteczko" (przedłużenie wizji „Piotrusia"). Na permanentnie skarnawalizowanym rynku, w jaki zamieniła się Ziemia Święta – symboliczne centrum naszego kręgu kulturowego, zwycięskie boje toczą tylko wojskowe wywiady. Nietzscheańskie starcie Dionizosa z Chrystusem nie prowadzi też do niczego – cierpienie jest już tylko i wyłącznie cierpieniem.

**

Każdy człowiek chciałby, aby jego marzenia spełniły się kiedyś chociaż w części, nosi w głębi serca tęsknotę za bliskimi, którzy już odeszli, za miejscami i zdarzeniami, bez których nie potrafi wyjaśnić i wyśnić tak podstawowych pojęć jak szczęście i ojczyzna. W tych tęsknotach na pewno odbijają się jak gwiazdy w Mickiewiczowej Świtezi tęsknoty znacznie odleglejsze, za wiekiem złotym, za rajem utraconym, za Terra Repromissionis, przez którą pustynie wciąż mają swych Mojżeszów i Arturów Rimbaud. W sierpniu ubiegłego roku przez chwilę czułem się bliski tych źródeł, tym bardziej, im silniej ściskałem dłoń pewnego starszego Pana, tym mocniej, im bardziej zdawałem sobie sprawę, że to wszystko dzieje się naprawdę. Mężczyzną tym był Leo Lipski, a działo się to na Ziemi Świętej. Miał w sobie wszystko, o czym przed chwilą wspomniałem, coś z kapitana pijanego statku Rimbaud i coś z czcigodnego starca. Becketowsko milczący nie przestawał Tęsknić, wciąż niespokojny, wciąż szedł lub płynął przez swoje pustynie, wspinał się na mistyczne wzgórza Velazqueza i litewskie drzewa ku temu wszystkiemu, co daje się nazwać, i ku temu, czego nazwać nie umiał. Łóżko przykryte dobrze przyzwyczajonym do swego miejsca prześcieradłem przypominało trochę jakby barkę jakąś, a trochę arkę, co na zawsze zapisałem sobie w pamięci jako właściwe wyobrażenie tego miejsca, czasu i osoby. To było tak dawno. „I minęło wszystko, jakby się przyśniło..."

Artur Nowak (Toruń)